1845. Nr 3. ROK 4.

Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

TREŚĆ PRZEDMIOTÓW: Faust, trajedija Göthego. Tłumaczenie Walickiego (przegląd—dokończenie).—Powieści Nieboszczyka Pantofla, zebrane i ogłoszone przez Eleonorę (?) Sztyrmer, (przegląd krytyczny).

FAUST

TRAJEDIJA GÖTHEGO.

Tłumaczenie Walickiego.

(*Przegląd. — Dokończenie.*)

JEDNA gienjalna kobiéta powiedziała, że Faust dostępny jest dla tych tylko, co są już magnatami w świecie umysłowym. Zgadzamy się zupełnie na to, dodając, że tłumaczenie Fausta wymaga nie tylko magnatów w świecie przemysłowości, ale i magnatów w świecie poezyi. Jak poeta bez naukowego wykształcenia, tak i człowiek naukowy bez natchnienia nie są w stanie dokładnie go przełożyć. Piérwszy jeszcze prędzéj, gdyż bezwzględne wrażenie, jakie na nim wywrzeć powinny piękności Fausta; pomimowoli starałby się oddać indywidual-

nością i siłą tegoż wrażenia—wprawdzie owa wyrozumowana świadomość nie odbiłaby się i drobne warunki przekładu, tysiączne drobne piękności uszłyby mniéj badawczego oka—ale sam pierwiastek, żywioł poematu, i owe szczegóły, które Goethe *nierozsądnémi* (unvernünftig (*) nazywając, wykazuje tém samém ich wypadkowe z piersi wypłynięcie; owe szczegóły zależące od natchnienia, od usposobienia i właściwości poety—dźwięczałyby śpiewem i potęgą oryginału.

Drugi zaś, który nie żyje pod wpływem wrażenia, ale je rozbiéra tylko; który się nad pięknością nieunosi, ale ją ocenia, nie będąc w stanie, przy braku tego poetycznego, że tak powiemy, pobratymczego uczucia, właściwie pojąć i przejąć się duszą poematu, tém bardziéj przy braku talentu poetycznego dokładnie go przełożyć nie potrafi. Niezapatrujemy się na obecny przekład — z żadnego z dwóch wymienionych stanowisk szczegółowo i wyłącznie, — widać w nim bowiem gruntowną znajomość literatury niemieckiéj, dokładne pojęcie ducha Goethe'go, chęć pracowitego i wiernego przelania piękności i genjalnych obrotów oryginału tym samem obrotem, formą—, nawet dźwiękiem, co wielką dzisiaj nadaje i powinno nadawać wartość przekładowi lirycznego utworu. — Z tém wszystkiém jednak tłómaczeniu brak jednego na pozór małoważnego przymiotu, brak łatwości wierszowania, raczéj brak zupełnéj wprawy i wyrobienia w pisaniu wierszem. Ten na pozór mały niedostatek, ten brak łatwości i polotu śpiewnego, sądzimy, że stanowi nie mały warunek w przekładzie liryki — więc formy dźwięcznéj, muzykalnéj, pieśniowéj nawet piosnkowéj. Dla tego też mimo całą usilność, mimo chęć dokładnego oddania piękności, zupełnie przez tłumacza pojętéj—żaden ustęp, w którym dusza śpiewaka w pieśń się wylewa—, żadna właściwa liryka nie jest lirycznie przełożona i nie przejmuje tém wraże-

(*) Alles Lyrische muss im Ganzen sehr vernünftig, im Einzelnen ein Bischen *unvernüntig* seyn.

niem, mimo dosłowności, jakie oryginał na nas wywiéra. Tém bardziéj więc owe przypadkowe, zależące wprost od natchnienia, od wieszczego zapału, owe *nierozsądne szczegóły*, co właśnie stanowią odblask między rozumową a liryczną częścią poematu dokładnie przełożone być nie mogą.

Weźmy naprzykład kilka wyjątków z monologu Fausta, (kiedy chce zażyć truciznę), w których przesyt i rezygnacja w pełnéj, lirycznéj formie dźwięczą—i porównajmy z przekładem Józefa E. Paszkowskiego, drukowanym w 2gim poszycie Biblioteki Warszawskiéj na rok 1841.

F A U S T (*sam po odejściu famulusa*).

Ten zawsze ma nadzieję i kontent sam z siebie,
Za prawdę bierze mamiące poszlaki,
Chciwy skarbów w ziemi grzebie,
I cieszy się—choć tylko wykopie.... robaki.
Powinnyż były usta tak prostacze,
Zabrzmieć wśród tego świętości przybytku?
Ale niestety! ten raz ci przebaczę,
Ziemskiéj niedoli kruchy niedobitku!
Tyś mię z nad brzegu rozpaczy odczepił,
Która mi zmysły ścisnęła nawałem;
Wielki widoku! jakżeś mię oślepił,
Jakże przy tobie skarlałem!
Ja obraz Bóstwa, com się już rozumiał
Bliskim zwierciadła odwiecznych tajemnic,
Com już rozdarłszy pomrok wiecznych ciemnic,
W niebie zawisnął i zdumiał!—
Ja wyższy nad Cheruby, którego duch wolny,
Sądził się na chwilę zdolny
Płynąć przez stworzenia żyły,
I twórczéj używać siły;
Jakżem skazany surowo!
Strąciło mię jedno słowo.

Mierzyć się z tobą chciałem — proch zarozumiały!
Jeśli me usta zakląć cię umiały,
Wstrzymać cię próżno wymowa się sili —
W téj błogosławionéj chwili
Czułem się tak wzniosło — mały!
Ty mię zepchnąłeś ze szczytu
W zamęt śmiertelnego bytu.
Kto mię nauczy? czego mam się chronić?
Mamli każdy popęd gonić?
Ach! nasze czyny równie jak cierpienia,
Tamują postęp naszego istnienia.
W co najpięknicjszéj materyi żywota,
Zawsze jakaś nić podła brudzi pasmo złota;
Gdy ku dobremu dojdziem na téj ziemi,
Wpadamy w nicość pragnąc być lepszemi;
Krzepiąca żądza, wyższe przedsiewzięcie,
Pełznie w światowym odmęcie.........

.......Biorę cię w rękę, rany się goją;
Potok mych myśli ustaje w biegu;
Na wielkie morze wypływam wspaniale,
U stóp mych błyszczą zwierciadlane fale,
Nowy dzień wzywa do nowego brzegu.—
Na lekkich chmurkach płynie wóz ognisty,
Staje przedemną.—czuję się gotowym,
Puszczać się przez etery lotem pewnym, nowym,
Ku nowym sferom czynności czystéj.
To wzniosłe życie, ta rozkosz pojąca,
Godnąż jest ciebie, przed chwilą robaku?
Tak, tylko śmiało na nadziei szlaku,
Unieś, obróć, do ziemskiego słońca!
Odważ się tylko te bramy otworzyć,
Które podłych zwykły trworzyć.
Teraz jest pora przekonać dowodnie,

Że skutek, woli odpowiada godnie
Nie drżeć przed ową ciemną bezednią,
W któréj się wyobraźnia dręczyła poprzednio.
Dążyć do tego przesmyku, którego
Wszystkie mocy piekła strzegą,
I choćby nicość miała być udziałem,
Wytrwać w przedsiewzięciu śmiałem.
Daléj, porzuć pochwę starą,
Kryształowa moja czaro!
Zapomniana od tak dawna.
Tyś zdobiła ojców stoły,
Gdy dłoń biesiadników wprawna,
Wznosiła toast wesoły.
Te figurki w koło rznięte,
Cyfry, zagadki dla gości;
Przypominają mi święte,
Swobodne chwile młodości.
Dziś o czaro z ręki mojéj,
Nie przejdziesz do rąk sąsiada,
Inna cię czeka biesiada,
Tu jest sok co rychle poi,
Co gasi pragnienia męki,
Dany na pociechę światu.
Witaj mi wschodzie jutrzenki!
Do ciebie duszkiem spełniam haust wiwatu.

Tłumaczenie Walickiego:

FAUST *(sam)*.

I ten człek jeszcze nie żegna nadzieje,
Choć bez ustanku grzebie ze śmietniska,
Wiek cały skarbu szuka, to skarb zajaśnieje,
Aż z radością w swéj dłoni ziemne glisty ściska.

Czyliż się godzi tak błahéj postaci
Wdzierać w to duchów mieszkanie?
A jednak z ziemskich najnędzniejszy braci,
Dziś ci ode mnie bądź podziękowanie.
To mię z zamętu toni wydobyło,
Gdzie zmysły moje zciemniały:
Ach! to zjawisko tak olbrzymie było,
Żem się ja wydał tylko karlik mały.
Jam podobieństwo Boże, co w uczuć zachwycie,
Jużem sobie przysunął zdrój prawdy wieczystéj,
Sam siebiem uznał we światłości czystéj.
Ziemskie otrząsnąwszy bycie.
Nad Cheruby mocniejszy samodzielną siłą,
Wlewając się w przyrody tajemnicze żyły,
Już miałem być, czém Bóztwo przez tworzenie było,
I padam upokorzony.
Jakby piorunu ciosem uderzony.
Nie mam się równać z tobą i tobie podołać,
I gdym był dość potężny by ciebie przywołać,
Zatrzymać nie zdołam ciebie.
Gdy tak byłem szszęśliwy, gdym się czuł już w niebie,
Jakżem się wydał sobie i wielki i mały!
Ty mię odtrącasz zuchwały.
I spychasz mię na nowo w nicestwo człowieka.
Któż sprostuje me kroki, kto mię dróg nauczy?
Mamże dążyć, gdzie śmiało duch się mój zacieka?
O niedołężne stworzenie,
Które zarówno plączą czyny i cierpienie!
We wszystko, co wielkiego dostał człek w podziale,
Obcy pierwiastek zdradliwie się wkrada.
Jeśli się to, co dobrém świat zowie, posiada,
Lepsze się przytém wyda tylko omamienie.
Wzniosłe uczucia, w których rdzeń życia się mieści,
Zamierzchają w ziemskiéj treści.......

......Bądź pozdrowione trzykroć zbawienne naczynie!
Przed tobą w skrusze czoło moje chylę,
Przez które dowcip ludzki słusznie na świat słynie;
Skarbcu, w którym są schowane
Cudowne soki śmiercią zaprawiane!
Mistrzowi swemu odpłać się w tę chwilę.
Widok twój bole łagodzi;
Mam cię w dłoni, stygną żądze,
Wewnętrzne burze ducha wolnieją.
Nowego życia czuję odparte wrzeciądze,
Na oceanu głębie łódź ma chybka schodzi,
Ku nowym brzegom nowe wiatry wieją.
Rydwan z ognia pod me stopy
Lekko spływa: jam gotowy
Przez Elizu pędzić stropy,
Wielka to rozkosz, którą ty masz dzielić;
Przed chwilą robak, z niebiany pospołu.
Daléj, tylko się ośmielić,
Rozstać się z słońcem padołu.
Roztrąć te wrota, które przed gminem
Urojenie zgrozą kala,
Byś pokazał światu czynem,
Że mężka moc i bogów nie ustąpi chwale.
Czas przełamać zgrozę kaźni,
Z własnéj wziętą wyobraźni,
Czas odważnie przebyć tamę;
Któréj strzegą piekła same,
Dolegliwéj wędrówki drogę śmiało skrócić,
Chociażby nawet przyszło w nicość się obrócić.

Czaro błoga! sam tu do mnie
Wydobywam cię znowu z pokrowca starego;
Zapomniana tak długo stałaś tutaj skromnie.
Niegdyś u dawnych przodków stołu gościnnego,

Przy wspaniałych biesiadach biegąc z dłoni w dłonie,
Wzbudzałaś natchnienie w łonie.
Na twych krawędziach rzeźby cudne wzory,
Ich myśl wieszczą wyłożyć ten się musiał silić,
Kto cię miał do dna wychylić.
Młody. jam z tobą spędzał biesiadne wieczory,
Już cię dzisiaj nie podam do ręki sąsiada,
Dowcipu mego nad twą sztuką nie wysilę;
Czarny płyn, który ściany twe łezką osiada,
Sam jeden do dna wychylę.
Napój ostatni duszy pragnienie umorzy,
Toast to uroczysty dnia wstającéj zorzy.

Dla tego tylko porównywamy te dwa tłumaczenia, żeby szczegółowiéj i dokładniéj pokazać to, o czém nadmieniliśmy wprzód ogólnie. Bezwątpienia tłumaczenie pana Walickiego jest dokładniejsze, dosłowniejsze, zrozumiane, powiemy nawet głębsze — ale brak łatwości w oddaniu, brak formy, która mimo to nie jest jeszcze taką jaką być powinna w tłumaczeniu J. E. Paszkowskiego, nadaje przecie temu ostatniemu przewagę w uchwyceniu tego ciągu harmonijnego, z którego się bieg myśli rozwija — i po przeczytaniu głębsze wrażenie pozostawia.

Albo porównajmy daléj, kiedy odgłos dzwonów, zwiastujących święto Zmartwychwstania Pańskiego, oderwał już Faustowi czarę od ust i kiedy powątpiewająca dusza, mimo braku wiary, zostaje pod uroczym wpływem tego dźwięku — już nie z tłumaczeniem J. E. Paszkowskiego, ale z samym oryginałem.

FAUST.

Welch tiefes Summen, welch ein heller Ton,
Zieht mit Gewalt das Glas von meinem Munde?
Verkündiget ihr dumpfen Glocken schon
Des Osterfestes erste Feierstunde? —

Ihr Chöre singt ihr schon den tröstlichen Gesang
Der einst, um Grabesnacht, von Engelslippen klang,
Gewissheit einem neuen Bunde?....

(Chór niewiast, potém chór aniołów; znowu mówi potém)

FAUST.

Was sucht ihr, mächtig und gelind,
Ihr Himmelstöne, mich am Staube?
Klingt dort umher, wo weiche Menschen sind.
Die Botschaft hör ich wohl, allein mir fehlt der Glaube;
Das Wunder ist des Glaubens liebstes Kind.
Zu jenen Sphären wag'ich nicht zu streben,
Woher die holde Nachricht tönt;—
Und doch, an diesen Klang, von Jugend auf gewöhnt,
Ruft er auch jetzt zurück mich in das Leben.......... &.

FAUST.

Pienia niebios! dla czegoż podźwignąć mię chcecie,
Tak potężnie, tak lubo, z nędzy, w którą spadam?
Brzmijcie, gdzie miększe serca dla siebie znajdziecie;
Ja, choć słyszę proroctwo, wiary nie posiadam,
A cud jest wiary piérworodne dziecię.
Nie śmiem się wzbijać w górnych sfer objęcia,
Zkąd czarujący dźwięk mię dolatuje,
Lecz głos wasz co me ucho pieścił od dziecięcia,
Znów mię do życia dzisiaj przywołuje.
Niegdyś niebiańskie w duszę spływały roskosze
W uroczystą Sabbatu religijną ciszę,
Z upojeniem poważne dzwonów głosy słyszę,
W gorących modłach serce do nieba podnoszę,

I niewymownie lubém utęsknieniem
Wywabiony, przebiegam i gaje i smugi,
I wylewając łez gorących strugi,
Nowe światy buduję uroczném marzeniem.
Ta pieśń nam była hasłem swawoli niewinnéj,
Wieścią piérwszego wiosny powabów rozwicia.
I dzisiaj przypomnienie, w drodze mego życia.
Ozwij się znowu, pieśni, tony niebieskiemi!
Już się łzą iskrzy oko—jam wrócon dla ziemi.

Mimo, że i tu zadziwi nas staranność i dokładność przekładu—gdzież znajdziemy tę rzewność, tę niepojętą lubą tęskność *(unbegreiflich holdes Sehnen)*, gdzie tę dźwięczącą przeczuciem pełnię dzwonów, gdzie ten pocałunek miłości niebios, spływający na czoło w uroczystą ciszę Sabatu, gdzie nareszcie ta harmonia, ten dźwięk — tak dokładnie oddający, tak koniecznie potrzebny dla myśli, którą wyraża?

Niedostatek, raczéj wada przekładu, o któréj wspominamy, jeszcze bardziéj staje się widoczną—tam gdzie liryka w pieśń lub piosnkę właściwą przechodzi np. śpiéw duchów usypiający Fausta, namiętna a przytém pełna uczucia i prostoty piosnka Gretchen, ten skromny, polny, jednak lśniący promieniami słońca kwiatek, który tak pięknie w pysznym bukiecie odbija. Po przeczytaniu tłumaczenia téj piosnki nie obudza się ani litość ani współ-czucie dla biednéj dziewczyny—ale owszem jakiś rodzaj śmiesznego rozweselenia, jakby po jakiéj naszéj piosnce miasteczkowo-romansowéj.

Czasem jednak tak późno objawiający się talent tłumacza zdołał przełamać i trudności liryki — np. w rozmowie Fausta z Wagnerem w scenie zamiastem, w odpowiedzi Fausta na zapytanie Gretchen w co wierzy? W pieśni Fausta i Mefistofelesa z Ognikiem — i ostatnia scena w więzieniu prócz piérwszéj piosnki obłąkanéj—złote wesele Oberona.

Miejsca zaś te, gdzie trzeba więcéj rozwagi, siły układu

a mniéj polotu, mniéj natchnienia—w ogóle miejsca miarowe, nie rymowe—bynajmniéj nie ustępują oryginałowi — np. scena w kościele, którą w całości przytaczamy:

Kościół.

Msza, Organy i Śpiew.

(GRETCHEN *w tłumie ludu*. ZŁY DUCH *za* GRETCHEN *z tyłu*).

ZŁY DUCH.

Nie tak bywało, Gretchen,
Gdy ty wstydliwa, skromna,
Tu przed ten ołtarz szłaś,
I z poszarpanéj xiążeczki swéj
Paciórki mówiłaś.
Dziecinne cacka
I Boga w myśli
Nosząc.
Twe myśli złe,
A w twojém sercu
Jakiéj zbrodni kaźń!
Za matki swojéj duszę prosisz—Ona
Przez ciebie w długich, długich mąk ujęta sen.
Na twoim progu czyja krew?
—A koło serca twego,
Czysz tam nie czujesz, jak
Dręczących ruchów strach
Obecność straszną zdradza?

GRETCHEN.

Ach! Ach!
Tłumnych myśli błędny rój

Uplątał mię, o jak się od nich otrząść!
Biada mnie!

CHÓR.

Die irae, dies illa
Solvet saecclum in favilla.

ZŁY DUCH.

Strach cię zdjął!
Trąba zgrozą grzmi!
Zadrżały groby!
A serce twe,
Popioły zgliszcz
Otrząsłszy z siebie,
W ogniach potępienia
Znów drży!

GRETCHEN.

Jakby ztąd wyjść!
Organów samych, zda się, głos
Oddechy zabija.
A pieśni dźwięk
Rozrywa serce!

CHÓR.

Judex ergo quum sedebit,
Quidquid latet apparebit,
Nil inultum remanebit.

GRETCHEN.

Mnie duszno tu!
Tych ścian filary

Zaduszą mnie.
I sklepienie
Tłoczy.—Ach!

ZŁY DUCH.

O skryj się! wstyd i hańba.
Skryć się nie mogą!
Powietrze? światło?
Biada!

CHÓR

Quid sum miser tunc dicturus,
Quem patronum rogaturus?
Quum vix justus sit securus.

ZŁY DUCH.

Oblicze świętych,
Unika oczu twych.
Podawać tobie dłonie
Czysty się wzdrygnie.
Biada!

CHÓR.

Quid sum miser tunc dicturus?

Monolog Fausta w pieczarze—i scena na polu, w któréj Faust wyrzuca Mefistofelesowi nikczemność z energią i zapałem, nieustępującym najjędrniejszym epizodom Szekspira również dobrze przełożone.

Na pozór Swoboda naszego języka—swoboda wierszowania zdaje się pozwalać czasem na odstąpienie od składni językowéj, zwłaszcza, nawet jedynie w przekładzie—ale odstą-

pienie to poświęcone dla dosłowniejszego i wybitniejszego odszkicowania myśli oryginału lub harmonji zewnętrznéj powinno być tak nieznacznie i zręcznie użyte, żeby nieobrażało, tylko nieco odstępowało od właściwości języka. Niezgrabne zaś użycie kiedy jeszcze do tego niewynagradza się harmonijnym tokiem formy, przypominającym oryginał — jest widoczném uchybieniem, błędem, zaniedbaniem czy téż dowodem nieudolnego władania mową swoją. — Otóż drugi niedostatek obecnego przekładu. — Często tłumacz pragnąc zupełnie dosłownie przełożyć, zanadto wielką skrupulatnością i wiernością uwodzić się daje oryginałowi i duchowi języka niemieckiego i pomimo woli popełnia germanizmy lub też zaniedbania, którychby z największą łatwością można było uniknąć, nietylko bowiem w miejscach lirycznych, które już w ogóle jedną wadę przekładu stanowią — ale w miejscach wprost djalogowych często spotkać się z niémi możemy. — np. Poznać cokolwiek do gruntu, *nie mniemam.* — Jakże ją blizkim czuję się być *tobie.* — Szczęśliwy kto téj nadziei nie strada, i t. d.

Za nią się w dali —
Zielone czoło
W nurtach kryształi
Pagórków w około.

Cóż mi świat może jeszcze zapowiadać
Stradać tu powinieneś, powinieneś *stradać!*

Ja codzień mówię napożne *pacierza*
Że mnie ani na króla ani na kanclerza.

Niech tylko, *na Bóg miły*
Miarę dobrze wymiarkuje.—

Póki my łapki grzéć *rady*.

To bardzo dobrze i nie chcę cię zostawić
Ogniem namiętnym napróżno się trawić!

Mnie masz popychać, a tu cię *pchną*· **i t. p. i t. p**

Otoż dwie główne wady widoczne w obecnym przekładzie - brak śpiéwności, łatwości wierszowéj, brak liryki i częste zaniedbanie języka czy germanizmem, czy téż innym jakiém obcém, a niepotrzebnie przyczepioném wyrażeniem. — W ogóle jednak tłumaczenie to nie jest pospolite — i ukształcony czytelnik, ów magnat w świecie umysłowym — jeżeli nie zupełnie pozna dokładnie i zdoła ocenić Fau sta, pozna przecie cały jego duch i potrafi powziąść wyobrażenie o piękności i wyższości oryginału. — Jużeśmy dając ogólne nasze zdanie o tym utworze Goethe'go powiedzieli w poprzednim numerze Przeglądu jak ważną przysługę wyświadczył Pan Walicki naszéj literaturze obecnym przekładem - powtarzamy jeszcze raz to samo i mimo widocznych uchybień i niedostatków jakie wykazaliśmy w téj pracy, cieszy nas i prawdziwą wdzięcznością przejęci jesteśmy dla tłumacza, który w tak odległéj stronie nie zapomina i stara się pracować dla dobra swojego piśmiennictwa,—a przekład Fausta nie jest tylko dobrą chęcią ale już objawieniem téj chęci.

Prócz przekładu P. Walickiego mamy jeszcze w Polskim języku przekłady Fausta przez:

Augustyna Bielowskiego, podobno cały przełożony ale nie drukowany. Czytaliśmy wyjątki wiele obiecujące.

Korsaka, jeden tylko monolog umieszczony w poezjach, wydanych w Petersburgu 1829 r.

Józefa E. Paszkowskiego. Wyjątek z Fausta drukowany w 2 poszycie Bibljoteki Warszawskiéj, który wyżéj przytoczyliśmy.

A. J. Szabrańskiego wyjątek z Fausta, w tym samym numerze Bibl. Warsz. Złote wesele Oberona i Fitanji wcale dobrze przetłumaczone. Scena w więzieniu za słabo.

Juljana Konstantego Gieczewicza, znaczny bardzo wyjątek prawie połowa piérwszéj części Fausta drukowany w Roczniku Petersburgskim na rok 1843. Wydawca uprzedza w przypisku, że to są próby młodzieńca zaledwo dziewiętnaście lat mającego.— Rzeczywiście 19 - letni młodzieniec wiele bardzo zapowiada, gdyż kilka scen, mianowicie scenę, raczéj rozmowę w ogrodzie Marty, modlitwę Gretchen do Matki Boskiéj i t. p. jak na dziewiętnaście lat za dobrze nawet przełożył.

Piotra Turcewicza, nie tęgie tłumaczenie i do tego jeszcze prozą—małego wyjątku—druk, w Niezabudce Petersburgskiéj na r. 1844.— nareszcie — Mały wyjątek tłumaczony z II części Fausta w Athenaum.

Z tych wszystkich szczegółowych tłumaczeń, nie mówiąc o Bielowskim najlepsze zdają się być Paszkowskiego i Szabrańskiego.— Tak jedno jak i drugie z przekładem Pana Walickiego porównywając, możeby odzyskało szczegółową przewagę.

Ale co innego jest przełożyć kilka scen, które się sobie upodoba niż mozolną i długą całość — dla tego też porównawszy jedynie kilka strof przekładu Walickiego i Paszkowskiego, w szczegółowe rozbiory, oceniania i porównywania drobiazgowych przekładów wdawać się nie będziemy, — uznając rzeczywistą wyższość przekładu Pana Walickiego, i niechcąc zbyt rozwałkowywać tych kilku uwag, głównie jego pracy poświęconych.

Włodzimierz W.

POWIEŚCI
NIEBOSZCZYKA PANTOFLA
Zebrane i ogłoszone
przez ELEONORĘ (?) SZTYRMER.

(Przegląd krytyczny).

Zanim przystąpimy do szczegółowego rozbioru powieści Pantofla, zatrzymajmy piérwéj uwagę nad ogólnym ich charakterem i barwą, słowem, starajmy się zbadać ideje autora. Z pomiędzy wielu piszących powieści u nas, mało, bardzo mało, umié je pisać — niekiedy można spotkać zarysy silne, śmiałe, ale bez umiejętnego ułożenia, bez zgody, słowem, wszędzie prawie brak już talentu, już ukształcenia pisarza, wydatnie się rysuje. — Dziś gdy dzięki postępowi, powieść zrzuciła z siebie próżną szatę sentymentalnych rojeń, gdy przestała być zabawką dla rozrzewniania miękkich serc familijnego kołka służącą, gdy rysuje na tle swojém obrazy towarzystwa,—pojęcia estetyczne, a nawet filozofiją—gdy z romansowéj nadnaturalnéj baśni przedzierzgnęła się w Epopeję wieku lub w obraz, na którym jaśnieją ideały ludzi, bacznie przestrzegać należy aby na tle jéj nie nie malowano, figur bezdusznych, skażonych myśli — lub zwichniętych pojęć. — Wielu

już mówiło, i pisało o powieściach Kraszewskiego, Blepóńskiego (Szczeniowski). M: Grabowskiego — Tyszyńskiego — Chołoniewskiego nawet, utwory Johna of Dykalp—były rozbiérane— nicowane — aż do znudzenia — nikt jednakże u nas dotąd nie zwrócił uwagi na powieści P: Sztürmer — w naszych czasopismach, nie spotkaliśmy dotąd żadnéj szczegółowéj recenzii, tych utworów — i zaledwie w ostatnim numerze Biblioteki Warszawskiéj zobaczyliśmy przegląd Prenofagjusza i Frenolestow — zreszto słaby — i bez pojęcia dokładnego — dorywczo snać napisany—a przecież zdaje nam się, że powieści P: Sztürmer warte obszernéj i dokładnéj recenzii — zkąd więc podobna obojętność? nie wiemy, ale gotowi jesteśmy przypuścić, że przyczyną tego jest proste nieuctwo — bo u nas w Warszawie — dzieła naukowe, specjalne, rozbiérają ludzie, których przedmiot traktowany przez autora, przed innémi obchodzi, słowem ludzie fachu — ale powieści, pisma belletryczne, najczęściéj bywają ofiarami, na których początkujący i bez wyrobionego sądu literaci uczą się szermować próżną djalektyką lub płaskim dowcipem — łatwo więc odgadnąć dla czego powieści P: Sztürmer — jako głębszą nacechowane myślą, jako nauczające w części — i których rozbiór nie łatwy, pominione zostały przez licznych Pseudo-krytyków naszych. Według naszego zdania. Zimny, lodowaty autor, co z krwią medyka analizuje wady towarzyskie, co bez litości wyszydza wszystko co niegodne człowieka, jest piérwszym naszym powieścio-pisarzem— i lubo niekiedy ironiczna i przesycona indywidualność autora znagla go zbyt jednostronnie — zbyt może *po swojemu* zapatrywać się na serce człowieka, zawsze jednak ta głęboka przenikliwość i znajomość duszy ludzkiéj, te szczęśliwe i pełne humoru sarkazmy, wzbudzają cześć dla prawdziwie wielkiego talentu ich twórcy. — Powieściom Sztürmera zarzucićby można brak artystycznego *wydania* — i pewien rodzaj fatalizmu przeświécającego niekiedy w charakterach bahatyrów jego, ale téż wczytawszy się łatwo dostrzedz, że Autor formę Utworu

za rzecz podrzędną zupełnie uważa — i z umysłu nie daje na nią baczenia.— Zresztą dość tylko spojrzyć na widnokręk powieścio-pisarski w Warszawie — gdzie bardzo i bardzo mało talentów w tym rodzaju widać— gdzie dzienniki jak Bibljoteka Warszawska i Pielgrzym zapełnione utworami niby żołniérskiemi niby traicznemi — a w ogóle ramotami bez myśli i celu — gdzie autor *Trapisty!* ośmiela się grozić nieszczęśliwéj publiczności wydaniem co raz to nowych utworów co na niesławę naszego piśmiennictwa rosną — dość spojrzéć na to wszystko, aby całém sercem i radośnie powitać autora Powieści Pantofla. — W utworach Sztürmera, — wszędzie jaśnieje to o co właśnie najwięcéj dziś idzie — co stało się celem sztuki — *Prawda*, dla tego téż myśli jego nacechowane są jakąś goryczą, która jednakże nie burzy mózgu — nie roznieca żądz poziomych, ale pozostawia po sobie jakieś przekonanie— zgodę, myśli autora z własnémi—słowem, jego powieści mają przymioty skutecznego lekarstwa co chorowity umysł do stanu zdrowego prowadzą— a w zdrowym budzą Chrześciańską miłość dla środka, co analizując choroby serca i przywary umysłu podaje zarazem sposób ich uniknienia – ideą więc autora jest prawda nie metafizyczna lecz socjalna — praktyczna— taka właśnie, jaka być powinna podstawą powieści — pojętéj, jako środek wykorzeniania zapleśniałych przesądów i wad towarzyskich. Czy autor zawsze ma słuszność w swoich spostrzeżeniach i omówieniach nad chorobami rodzaju ludzkiego, podług własnego przekonania zobaczymy, — upewniając z góry, że zdania naszego za wyrok nieogłaszamy lecz objawiamy jéj raczéj dla starcia się pojęć co jest rzeczywistym celem krytyki, najważniejszym utworem z powieści Pantofla jest wedle nas szkic — Frenofagjusz i Frenolesty—w wydaniu zewnętrznéin w formie Frenolesty nie jest powieścią— a tylko, zbiorem obrazków różnorodnych *nacechowanych* prawdziwością i umiejętném postrzeżeniem nad sercami i umysłami ludzi;— z kolei, starajmy się przejrzeć te obrazki— pominąwszy

wstęp *do Publiczności* w którym osobista ironja autora i jego pojęcie godności artysty widne. — jak również następny rozdzialik, w którym pijąc kawę i patrząc na rulonik dukatów przysłany mu przez księgarza, wyszydza autorskie rojenia o sławie, przejdźmy do opowiadań Pana Marszałka, który zanim się spotkał z autorem. musiał już wiele wylizać półmisków z kuchni Frenofagiusza, bo mówi daleko rozsądniéj i umiejętniéj od wielu z naszych estetyków — nie zastanawiając się nad tém, czy potężny Frenofagjusz nie miał apetytu przez ciąg pobytu P. Marszałka w jego służbie, a przez to obficie rozumem naładowane półmiski spożyte były na pożytek jego umysłowy, czy téż połączone razem mózgi warjatów, więcéj warte od zdrowego rozumu — przystępujemy do przeglądu — obrazków, — które autor mieni daguerotypami z osób zamieszkujących cęle u Bonifratrów. — Piérwsze trzy obrazki - szczupłe, lubo dokładnie wyrażone: jeden przedstawia człowieka głupca fatalistę - co gra w loterją z namowy Frenolestesa i straciwszy ostatni fundusz w nadziei wygranéj—zawiedziony—traci zmysły i oddaje mózg do śpiżarni Frenofagjusza—może nie od rzeczy będzie objaśnić czytelnika co autor rozumie przez Frenofagjusza i Frenolestów. — Opowiemy to słowami pana Marszałka: „Potężny Frenofagjusz karmi się rozumami ludzkiemi! - im większy rozum tém dłużéj go jé. — Rozum składa się z dwóch połowek z których *jedna* znajduje się w sercu, druga w głowie obie złączone są z sobą nitką— a ta nitka może się zerwać jednakowo od wstrząśnienia w jednym lub w drugim końcu. — Chodzi tylko o to, żeby targnąć za jeden koniec, albo za oba.

— Więc to tę nitkę Frenofagjusz zrywa, kiedy ma apetyt na czyj rozum? —

— Rozumié się. Tylko Frenofagjusz zbyt potężny, żeby się sam tém zajmował; on sobie siedzi spokojnie, a targaniem nitek rozumu zajmują się Frenolesty, których rozsyła po świecie. Ale WPan zapewne nie wiész, co to za istota Frenolestes? Zaraz ci wytłómaczę. Potężny Frenofagjusz codzień

rano, jak tylko się ocknie ze snu i zapali cygaro, bierze się lewą ręką za głowę, wyrywa sobie jeden włos z czupryny, i ogrzawszy go cokolwiek żarem cygara rzuca w powietrze. Z tego włosa natychmiast staje przed nim istota z pokorną postacią, która się nazywa Frenolestes. Frenolestes, jak drugi Proteusz, może przybiérać taki kształt, jaki mu się tylko podoba. Może on być mężczyzną albo kobiétą, wielbłądem albo nietoperzem, lecz charakter odbiéra od Frenofagjusza, i ani na jotę nie może od niego odstąpić, mając w tym względzie naturę djametralnie przeciwną ludzkiéj. Jeśli włos był wyrwany z tego miejsca czerepu, które w Organologji doktora Galla oznaczone n. 4, to Frenolestes cały tchnie brutalstwem, urwis i zabijaka; jeśli z n. 6, to chytry jak lis i kłamca nieuhamowany; jeśli z n. 22, to szalony poeta i t. d. Jak tylko się urodzi taki Frenolestes, to ojciec, uderzywszy go pięścią w kark, jak piłkę wyrzuca przez okno na świat, w którym pan synek błąka się dopóty, dopóki nie wypełni swego obowiązku. —

Drugi obrazek sam przez się pospolity - i tylko pod piórem P. Sztürmer szczęśliwie oddany — toż samo i o trzecim powiedziéć można.—Czwarty, lubo na tle zwyczajném i już nie raz opisywaném—obszerny i doskonale oddany.— Stary Frenofagjusz przeglądając swoję spiżarnię a nie widząc tam nic więcéj prócz mózgu samych Poetów, wręcz oświadczył Frenolestom, że już mu sprzykrzyła się ta zimna galareta i rozkazał szukać muzgu rozpalonego prawdziwą namiętnością—Otóż, mózg pana Jakóba Kozery przeznaczony został na stół dla Frenofagjusza — w tym obrazie, chciał autor pokazać upodlenie człowieka, nad którym namiętność weźmie przewage do tego stopnia, że zagłuszy wszystkie uczucia co stanowią umysłową potęgę jego — wybrał do tego tło już zużyte jak wyżéj nadmieniliśmy — przedstawił gracza — ale pan Sztürmer każdą namiętność, każdą śmieszność towarzyską, widzi jaśniéj jak inni, i dla tego opis gracza Kozery—zdaje się zupełnie nowy, świé-

ży—ale to tylko ogólna treść obrazu— gdy tém czasem, cała wartość, cały użytek i prawda, zamknięte są po większéj części w tych odrębnych zdaniach, sarkazmach, i żeby wyliczyć wszystkie piękności nie tylko tego ale i następnych obrazków i prawie każdéj powieści Pantofla wypadałoby przepisać je w całości. — Następnie przedstawia Autor kobiétę Filozofkę, wydającą dzieło o wychowaniu kobiét.—My, co nie jesteśmy sektarjuszami nowo-wyklutéj 19sto-wiekowéj *emancypacii filozoficznéj* niewiast, nie możemy dosyć nacieszyć się z dokładnego i prawdziwego obrazu kobiéty filozofki — jakże wymownie przedstawia się tu cała niestósowność bez celnych otchłani abstrakcji dla słabego umysłu kobiéty — i dla tego, przyjmujemy za pewnik matematyczny zdanie znakomitego autora, „Że kobiéty zajmujące się *ex professo* filozofją wydają na świat zamiast dzieci, dyssertacje, które ledwie raz odetchnąwszy—umiérają.—Daj Boże, aby wszystkie nasze wyemancypowane filozoficznie niewiasty przeczytały i uczuły ten obrazek, z serca życzymy im tego! — Po kobiécie filozofce natrafiamy na jeden z najpiękniejszych zarysów Powieści — dziwno, jak autor, z zimnego szydercy przechodzi nagle do uczucia w najdelikatniejszych jego odcieniach – przedstawił on tu młodego wojskowego,—który robi zakład z kolegami, że potrafi zawrócić głowę i uwieść młodą i *niewinną* dziewczynę; jak-że prawdziwie wyrażony tu, nikczemny egoizm dzisiejszéj młodzieży—jakże widny, ten brak moralności, prawdziwego honoru, którym niedouczeni wychowańcy *filozofiki* chełpić się zdają— a obok tego znówu, ta czysta i niewinna dusza, co tak stopniowo wala się kałem zepsucia co tak stopniowo spada w otchłań jego, jakże groźnym jest obrazem dla tych dziewic co zapominają wpojonych przez matki religii, i obowiązków— dodamy tu jeszcze tylko, że Frenolestes nie potrzebował mięszać mózgu Artiura — gdyż w tym obrazku sam Artiur jest Frenolestą.

W historji Jacka, który był naprzód *człowiekiem* potém przez

metampsichozę *Lwem*, *Papugą*, *Puszczykiem* i *Bobrem* aż został wreszcie **Osłem**, znów wraca autor do zwykłego swego charakteru - ile w tym obrazku prawdy, ile dowcipu i prześlicznych, niezrównanych sarkazmów, to tylko czytając można dostrzec; wymienić je tu byłoby niepodobieństwem. Pan Jacek, który przez całe życie grał rolę *blasé* z próżniactwa — czytał tylko takie książki, których twórcy sarkali na świat życie — ect. — ten Pan Jacek nie mógł odróżnić się od swoich *licznych współbraci* i dla tego, musiał przez konsekwencją nakoniec zostać osłem, z czego zresztą mocno jest zadowolony, bo jak powiada: „Widzisz WPan chociaż w innych krajach trudne ośle życie ale u nas w Polscę tego nie masz: *Osieł* nie pracuje wcale, je, sobie tylko, pije, śpi i bąki zbija po świecie. Czegóż mi potrzeba więcéj? jestem syty, spokojny, wesoły — *mam wierną przyjaciołkę Oślicę, dobrych znajomych Osłów, dobre dzieci Oślęta*, słowem jestem szczęśliwy i WPanu tego życzę." — W opisie celi zamieszkanéj przez biédną Rózię zaczyna autor rozstrząsać znaczenie wyrazu *Miłość* i wreszcie ómowia ją w ten sposób: *Miłość* - - tak jak wyraz *Piéniądze* sam przez się nic nie znaczy; trzeba wiedzićć, wiele jéj człowiek posiada i w jakim rodzaju? *W każdym przypadku jednak jest to gatunek warjacii czyli obłąkania umysłu* — nie zgadzamy się z sądem autora w tym przedmiocie — bo chociaż jeden rodzaj miłości — indywidualnéj, to jest po prostu skłonność młodzieńczego serca ku wymarzonéj dziewicy, która zreszto może być, jak mówi P. Sztürmer — *koczkodanem z pustą głową i sercem jakie można dostać w szlachtuzie*, — chociaż więc taka miłość słusznie za stan obłąkania uważaną być może, jednakże według nas, to nieupoważnia bynajmniéj aby zaprzeczyć znaczenia — Miłości i nazwać ją warjacją — boć każdy kto czuje w sobie bijące serce — ci nawet, co ostudzeni z gorączkowych szałów młodości chłodnym powiewem doświadczenia, lub nauki, razem z autorem szydzą z platońskich rojeń miłości, ci sami, mędrcy ziemi, schylają czoła przed potężném bóstwem miłości co

trzyma straż nad ludzkością w sercach jéj pojedynczych indywiduuw. Czyliż autor nazwie szaleństwem uczucie, co towarzyszy tułaczowi w dalekiéj stronie—na wspomnienie rodzinnych zakątów, co nakazuje zaprzéć się siebie dla szczęścia ogułu, co nakoniec wprowadziło Chrystusa na krzyż męczeński dla zbawienia ukochanych miłością Jego narodów, zaprawdę, jeśliby takie uczucie było szaleństwem, to cała moralna budowa społeczeństwa runęłaby do razu— zaprzeczonoby bytności cnotom, występkom i wszystkiemu co jest — a zapewne przyszłoby nakoniec do tego, że musielibyśmy na wzór onego mędrca bić się kijmi dla przekonania siebie o własném istnieniu z tekstu p. Deskarté *Czuję więc jestem* — to co autor mówi przez usta P. Marszałka o ludziach,—„że całe życie człowieka co ma ludzką, a nie kapuścianą głowę i ludzkie a nie rybie serce, jest nic więcéj jak zbiór rozmaitych scen warjacji t. j. myśli, uczuć i postępków niezgodnych z rachunkami zimnego rozsądku, które ludzie porządni nazywają złym humorem—spleenem, sentymentalnością, głupstwem, oryginalnością, warjacją i szaleństwem jest równie fałszywe jak szkodliwe w skutkach, bo sądzimy, że jeźlić te szaleństwa popełniają ludzie którym autor przyznaje ludzkie serca i głowy, to zapewne są one apoteozą uczuć człowieka, w porównaniu z temi, jakie zdolna uczuwać reszta przeczących pół ludzi.— którym sam Sztürmer pozostawił kapuście głowy i rybie serca—nie wątpimy, że autor jest tegoż przekonania i tylko w obecnym razie, poświęcił jasne wydanie swojego przekonania dowcipnemu sarkazmowi;—cała téż treść tego obrazku, przesycona jakimś widocznym fatalizmem serca i dla tego, Rózia machinka posłuszna temu fatalizmowi traci wiele na piękności wewnętrznéj— i daje się nawet czuć pewna nielogiczność między Rózią, ślepo zakochaną w nikczemnym głupcu a tąż samą Rózią, co tak silnie czuje, tak wzniośle modli się u Bonifratrów,—Cela Matki, co zabija własne dziécię obłąkana zbytkiem macierzyńskiéj miłości, lubo obrobiona po mistrzowsku,

zdaje nam się być cokolwiek przesadzoną a dążność jéj fałszywą—o ile pojmujemy, celem tu jest potępienie zbytecznego przywiązania matki do dziecięcia—rozumiemy, że autor z wysokiego, bezwzględnego stanowiska patrząc na takie uczucie, mógł je potępić jako szkodliwe niekiedy w skutkach, ale podług nas, te córy mglistéj abstrakcji, te spekulacyjne hypotezy, nie mogą być stanowiskiem, z którego sądzić należy uczucie towarzyskie i przyrodzone. Gdyby mężczyzna podobnie przywiązał się do jednéj istoty, chociażby go z nią łączyły najściślejsze związki—to sami wyszydzilibyśmy podobny egoizm—bo dziś, dla serca człowieka jest wiele świętszych przedmiotów, które kochać koniecznie należy — i trzeba poświęcać uczucia osobiste dla uczuć co ogrzewają piersi całych narodów, ale kobiéta? wszakże miłość macierzyńska to korona jéj doskonałości uczuciowéj—to apoteoza potęgi jéj duszy!

Zakończa powieść, historja samego p. Marszałka — jest to wyborna satyra, w któréj nie jeden z literatów znalazłby dla siebie coś b. pożytecznego lubo przykrego, to jest prawdę, o którą dziś tak trudno — tutaj p. Sztürmer występuje często nie już jako szyderca, ale jako erudyt z dokładnemi pojęciami estetycznemi—i życzylibyśmy szczerze wielu naszym literatom, aby historija p. Marszałka wywarła na nich skutek zamierzony przez autora, to możeby uniknęli smutnego przeznaczenia, *być wylizywaczami resztek cudzych rozumów.*

Otóż i koniec powieści — drugim z kolei co do wartości utworem jest Dusza w suchotach.

Rzadko się zdarza, aby pisarz potrafił ująć tak silnie piętno charakteru i tak prawdziwie, tak przekonywająco, wydać je we właściwéj barwie, jak p. Sztürmer ujął i wydał charakter bohatyra téj powieści, tém więcéj, że to charakter nie zwykły, lubo prawdziwy i pojęty—ubogą będzie w słowa recenzja nasza o Duszy w suchotach, powód jasny, bo gdzie krytyk wynajdzie błędy w powieści, tam łatwiéj mu rozszerzyć się nad niémi i wyjawić zarazem swoje zdanie — przeci-

wne pojęcia poprzeć rozumowaniem—ale w tym utworze wyznajem otwarcie, błędów wcale nie widzimy, trzeba wszystko chwalić a chwalić serdecznie, bo autor wzbudza prócz podziwu i serdeczne spółczucie. Dusza w suchotach jest dziełem genijalném, bo i sama jéj idea filozoficzna wielka — genijalna, żywa i rozstrzelona dziś po sercach wszystkich ludzi, co przyświécają ludzkości bądź nauką, bądź artyzmem — potrzebaż nam wymienić tę ideę? jest nią miłość, ten święty węzeł społeczeństwa, który je łączy z Bogiem—celem powieści, jest dowieść, że cała potęga rozumu niknie bezczynna, jeśli nieoświecana promieniem *takiéj* miłości;—treścią utworu jest życie bohatyra—a to życie podzielił autor na trzy epoki; jakże widocznie rysuje się w każdéj z tych epok nudny i zgryźliwy charakter człowieka co ma miłość w głowie—*w pojęciu* a nie w sercu—*w przekonaniu*—i skoro nawet zstąpimy niżéj, wprost do obrobienia, do wydania szczegółowego, to ileż prawdy spotkamy w tych żyjących osobach: pana Pocztmajstra i jego *zgołębionéj* rodziny — tam bohatér powieści zawięzuje pierwszy raz stosunki pseudo miłosne, które przemijają w jego pamięci bez ułudnych wspomnień, bo on nie kochał sercem ale pojęciem, siłą, efektem, powtórna, platoniczna miłość dla Marji jest jedyną epoką, w któréj serce zgryźliwe i wybrédne, przemaga nad chłodem sarkazmu będącego głównym pierwiastkiem charakteru Karola — i dla tego wspomnienie tych chwil, jeszcze przy schyłku życia, lodowatego suchotnika wzrusza, i przypomina mu całe niebo snów rannéj młodości i wszystkie uniesienia świéżego serca, lecz i ten obraz przewiewa— a nudny i oziębiony zupełnie Karol, staje się tylko zręcznym komedjantem względnie do towarzystwa—już on nic uczuć nie zdolny i tylko starannie łowi, wszystkie nastręczające się przyjemności i wrażenia, by niémi załatać próżnię serca. — W ogóle między Frenofagiuszem i Frenolestą a Duszą w suchotach, postrzegać się daje wybitna różnica—pierwsze, jako więcéj przedmiotowe, wyraźniéj i rozciągléj maluiace wady

towarzyskie, może więcéj dają praktycznego pożytku. Druga, osnuta na wielkiéj filozoficznéj myśli—więcéj podmiotowa, wyższe w obliczu sztuki zajmuje stanowisko. *Urywki z Pamiętnika oryginalnie wychowanéj kobiéty* lubo tu kładziemy na trzeciém miejscu, jednakże albo wcale nic lub bardzo mało ustępują poprzednim dwóm utworom—zdaje się, że w téj powieści autor chciał połączyć wszystkie swoje idee i wszystkie sarkazmy—i przyznalibyśmy bez wahania ten twór jego genjalnym i doskonalszym od innych, gdybyśmy nie spotkali jednéj wady, która nie jest bynajmniéj słabą stroną powieści, lecz we względzie jéj *pożytku* stanowi stronę ujemną. Ta kobiéta, bohatyrka, co z duszą jasną i szlachetną, z sercem czułém i bezinteresownéin, ukształcona naukowo i obeznana z praktycznemi zatrudnieniami, z pomocą których, stałaby się prócz wszystkiego, nawet dobrą gospodynią — ta kobiéta jest nieszczęśliwszą od innych kobiét, gęsi—nie może ona nigdy i nigdzie zakosztować szczęścia i rozstać się ze swoim sarkastycznym Demonem, dla czego? że ma oświécenie i naukę — niechże autor zważy, że podobna konsekwencja jest wyraźną przestrogą dla kobiet, by co najsilniéj strzegły się nauki i ukształcenia, że jeśli chcą być szczęśliwemi, to niechaj pozostaną w ciemnocie — i jeśli autor sądzi, że podobny przykład nie zdoła przerobić wyobrażeń ludzi, to zaprzeczamy jego zdaniu—wedle nas, głupca namówić aby został mędrcem, jest tak niepodobném, jak błagać ślepego, aby ocenił piękność przedstawionego mu koloru, lecz bardzo można skrzywić zasady ukształconego człowieka, zwłaszcza wtedy, jeśli doń przemówi ktoś tak silnie i tak przekonywająco jak p. Sztürmer—o ile dostrzegamy, ta wada wynikła z rozwinięcia charakteru bohatérki bez zamiaru autora—bo on chciał powtórzyć swoją wielką ideę, że życie bez miłości nigdy spełnić się nie może — bo usiłował przekonać i przekonał czytelnika że człowiek, bądź kobiéta, bądź mężczyzna, dopóty może bawić się wesoło w szczęście, póki młodzieńcza wyobraźnia ma siłę zabić złośliwego Demona rozu-

mowań — i że człowiek co teoretycznie wyrobił sam w sobie dokładne i zupełne przekonanie o uczuciach nie zużywszy onych, nie uczuwszy ich poprzednio, nie może być nigdy szczęśliwym. Przyznajemy zupełną słuszność temu zdaniu, ale dodamy jeszcze, że i piérwszy i drugi zejdą się w końcu na jedném miejscu, z tą tylko różnicą, że pierwszy przez rozczarowywania często boleśne i bardzo bolesne dokupił się zimnego i suchego spokoju, którego drugi bez pracy kosztuje; który któremu zazdrościć powinien, nie wiemy; wedle nas, na świecie tylko forma szczęścia istnieje, jego istota jest marzeniem — a marzenie to utopja — i nie byłoby tak wiele rozpraw o szczęściu i jeremjad nad brakiem jego i skarg na świat, ludzi — gdyby ludzie raz przekonać się chcieli, że szczęście, które oni uważają za bity i ogrodzony gościniec, po którym wybrani wciąż bez końca spacerują — nie jest niczém inném, jak tylko czasowém, chwilowém upojeniem bądź duszy, bądź serca, bądź zmysłów wreszcie. Co do obrobienia, powieść ta nic do życzenia nie zostawia, a konsultacje bohatérki z Demonem, gdzie autor przekonywa, jak często pozory szczęścia za samo szczęście branémi bywają, są nacechowane tak silną charakterystyką, taką prawdziwością i sztuką, że w niczém nie ustępują obrazkom z Frenofagiusza i Frenolestów.

W ogóle, trzy rozebrane tu powieści, a zawarte w tomie drugim pism Pantofla, stoją daleko wyżéj od innych jego utworów — w tomie pierwszym powieść *Pantofel* od lat kilku już znana powszechności, oznacza się dokładném wydaniem charakteru bohatyra — prócz tego, w pierwiastkowém wychowaniu Pantofla leży nader użyteczna myśl: jak szkodliwe skutki wywrzeć może na wrażenną i bierną duszę dziecka, zniewieścienie jego charakteru i charakter Pantofla jest tu tak dokładnie i żywo wydany, że lubo autor nadaje mu stronę umysłową, świetną i pełną użytku, przecież ona nie może go zasłonić od pogardy czytelnika — sam nawet fatalizm przywiązany do przydomku, jakim go jednozgodnie wszyscy obdarzają, jakkol-

wiek może nienaturalny, przecież tak szczęśliwie pomyślany, tak ustrojony wybornym humorem, że wyradza w nas przekonanie, że jeśliby kto z czytających zobaczył nieszczęśliwego Pantofla, to pewnieby go nazwał tém samém przezwiskiem — oznaczenie charakteru Pantofla, ujęte szczególniéj w tych drobnych sytuacjach, jako naprzykład w téj, gdzie ta wpół niewieścia istota przewozi w czapcę listy ukochanéj przez siebie dziewicy szczęśliwszemu spółzalotnikowi, lub wtedy, gdy w oczach kochanéj nie śmie przestąpić wrot, z obawy uwiązanego przy nich psa.

Inne figury téj powieści, jako Eliza i pan Rotmistrz podrzędne zajmują miejsca, a przeto nie zbyt widoczne — ale żona Pantofla, typ kobiéty zepsutéj zbytkiem i kokieterją — wybornie nakreślona — w téj jak i każdéj powieści p. Sztürmer przyświeca pewien rodzaj fatalizmu — przeznaczenia, które, jako zaprzeczające człowiekowi samowolności ducha, choćby mało widome, jak w tym razie, zawsze za błąd w utworze uważamy — chociaż obok tego, jasno widzimy myśl moralną, na któréj osnuty nekrolog Pantofla. *Czarne oczy* szkic fantastyczny z właściwego stanowiska uważany, na dwie połowy podzielićby wypadło — pierwsza, wyborna, lekka, pełna prawdziwie wyższéj fantastyczności i wydana z wysokim talentem; szczególniéj też scena w czasie licytacji i druga na wieczorynce kawalerskiéj — tam autor w humorze, charakterystyce i sarkazmach zdaje się być niewyczerpanym, i lubo może czytelnikom figura samego Karola wydaje się zbyt zagraniczna, nie nasza — jednakże co do nas, pojmujem zupełnie podobnie zniemczonego fantazją i wyobrażeniem młodzieńca — uczestnika uniwersyteckich szaleństw i osiąkłego powieściami Hofmana i Tika. Druga połowa szkicu od czasu gdy te nieszczęśliwe sny poczynają się — słaba i blado wydana, koniec w tym utworze wzbudza tęsknotę za początkiem i dla tego żałujemy, że autor ugmatwawszy powieść w snach, których podobno aż 5 występuje — zpospolicił chara-

ktery, a przez to odebrał cały efekt fantastyczności i charakterystyki, które cechują początek utworu.

W *trupiéj główce* znowu widzimy tę wielką ideę, jaka przyświéca w Duszy w suchotach, jak tam tak i tu również występuje człowiek z przekonaniem — lecz bez uczucia, cel powieści ten sam, tylko bohatér bardziéj zimny, bardziéj nie czuły — w budowie powieści nic do zarzucenia nie ma, obrazowanie prawdziwe, a pojedyncze sceny, szczególniéj też przybycie staréj Małgorzaty z Organistą do mieszkania bohatéra — tak mocno i charakterystycznie skréślone, że nerwy drżą w czytającym, jeśli tylko on wcieli się uczuciem w dzieje powieści. Na tém powinnibyśmy zakończyć przegląd powieści Pantofla, bo ostatni jego twór *Błogosławieństwo matki* tak słaby i odmienny barwą i ideją od wszystkich innych, że mimowoli wpadamy na myśl, że po śmierci genjalnego Pantofla, jedna z jego kuzynek dołączyła swoją powieść do jego utworów i położyła na nim nazwisko swego kuzyna—bo jakże można przypuścić, aby autor Duszy w suchotach mógł wziąść za ideę powieści zaprzeczenie własnych, poprzednio wyrażonych zdań i myśli, wszakże tu, w Błogosławieństwie matki, celem głównym jest dowieść, że kobiéta namiętna ziemsko, bez uczucia wzniosłego, bez niewieściéj dobroci serca, obliczająca na efekt wszystkie tkliwe serca przymioty—lepszą jest od wcielonego anioła, od takiéj, co gruntownem ukochaniem Religii podwyższa, poetyzuje wrodzone duszy przymioty; dla czegóż to? nie możemy odgadnąć— gdyby był autor obok kobiéty takiéj jak Felicja wystawił jako zaprzeczenie niewiastę kucharkę z dobrém sercem i modlącą się jako machinka—to pojęlibyśmy cel jego, ale tu gdzie obie te figury są równie excentryczne, a nawet druga (Katarzyna) o wiele przewyższa piérwszą—nie możemy odgadnąć przyczyny, jaka pobudziła autora do wyobrażenia takiéj antytezy— zresztą cała ta powieść ogołocona z barwy, figury, bez życia, styl nawet nie przypomina nam wcale, że wyszedł z pod pióra najznakomitszego naszego powieściarza.

Ktoś pisząc artykuł krytyczny w Bibliotece Warszawskiéj powiedział: że Sztürmer nie ma serca a Kraszewski oka wnikającego w głąb duszy ludzkiéj — że gdyby Kraszewski prócz serca swego miał oko Sztyrmera, lub nawzajem Sztyrmer przy właściwym sobie badawczym duszę wzroku, posiadał serce Kraszewskiego, to utworzyliby pisarza doskonałego – ten ktoś nie miał słuszności, bo trzeba bardzo słabo i zewnętrznie pojmować powieści Sztyrmera, aby zarzucić mu brak serca — że tak nie jest przekonywają o tém liczne obrazy w jego utworach, i tak: Cele Matki, Rózi i Artiura w Frenofagiuszu; Cała oryginalnie wychowana kobiéta—bez swego Demona; poczciwa Małgorzata w Trupiéj Główce i miłość dla Maryi w Duszy w suchotach i tyle innych; — p. Sztyrmer ma serce tylko się nie tkliwi ustawicznie—ale tam- gdzie serce samo się wydziera z piersi, tam on je objawia i objawia silnie, bo snać wszelkie wady i nieszczęścia ludzkości, które tak genjalnie opisuje, sam pojął sercem i przecierpiał sercem. Podobno ma on nas obdarzyć powieścią na większy rozmiar – czekamy z niecierpliwością na ten podarek, bo tylko pomnożona liczba takich utworów jak Sztyrmera może postawić naszą powieściową literaturę na równi z zagranicznemi, a nawet wyżéj od nich.

Aleksander N...

Sprostowanie.

Na str. 49 w *Prologu*, wiersz 3, zamiast *bronią* czytaj: broną.

Na str. 54, wiersz 5 od dolu, zamiast *perzynę*, czytaj: pierzynę.